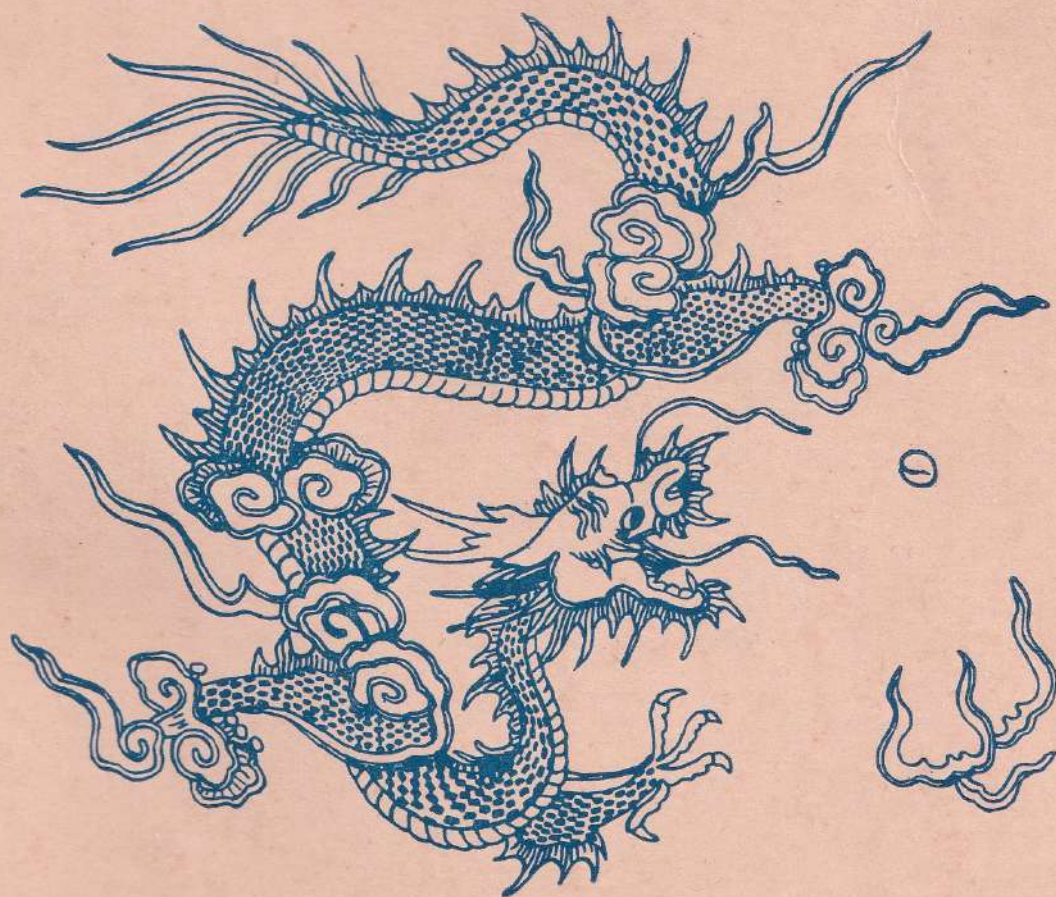


POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 2(38)

WARSZAWA

1961

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Mikołaj Melanowicz, <i>Przyroda w twórczości Hokusai</i>	123
Wiesław Kotański, <i>Kilka uwag o środkach zdobniczych w starożytnej poezji japońskiej</i>	129



Wiesław Kotański, Kamil Seyfried, <i>Stosunki kulturalne między Polską i Japonią</i>	141
Alina Jabłońska, Kazimierz Krąkowski, <i>Z dziejów Polonii harbińskiej</i>	159

UTWORY LITERACKIE

<i>Z Księgi Pieśni — Szy King</i> (z chińskiego przełożyła Marzenna Szlenk)	173
P'u Sung-ling, <i>Malowana skóra</i> (z chińskiego przełożyła Halina Smisiewicz-Andrzejewska)	175
Nam Cao, <i>Chi Pheo</i> (z wietnamskiego przełożył Ryszard Chmielewski)	181

Z PRACOWNI RĘKOPISÓW ORIENTALNYCH

Zofia Dubińska, <i>Z badań nad psalterzami ormiańskimi w języku kipczackim</i>	203
--	-----

MATERIAŁY I NOTATKI

Franciszek Machalski, <i>Po XXV Światowym Kongresie Orientalistów w Moskwie</i>	215
Franciszek Machalski, <i>Wspomnienie o Bazylim Nikitinie</i>	217
Maria Torowa, <i>Sinologia na Uniwersytecie im. Iwana Franko we Lwowie</i>	220
<i>W odwiedzinach u orientalistów Armenii i Gruzji</i>	220

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

<i>Dzieje Chin</i> (Agnieszka Łobacz)	223
Tadeusz Żbikowski, <i>Konfucjusz</i> (Maria Torowa)	224
<i>Sprawiedliwe wyroki sędziego Pao-Kunga</i> (Mieczysław J. Künstler)	225
<i>Pa Cin, Gdy bogowie odchodzą</i> (Mieczysław J. Künstler)	226
<i>Irys, Opowiadania japońskie</i> (Mikołaj Melanowicz)	227
<i>Księga papugi</i> (Franciszek Machalski)	230
A. G. Abramjan, <i>Rukopisnyje sokrowiszczia Metenadarana</i> (Edward Tryjarski)	231
Z CZASOPISM	232
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE	235

KRONIKA

Z ruchu naukowego na polu orientalistyki	
<i>Sprawozdanie z działalności Sekcji Orientalistycznej Komitetu Nauk Filozoficznych PAN za rok 1960</i>	241

Z KSIĘGI PIEŚNI
SZY KING*

Pieśń 89



Przy wschodniej bramie, na równinie,
marzanna rośnie, tuż przy brzegu;
dom jego jest tak bardzo blisko,
ale on sam, ach, jak daleko!

Przy wschodniej bramie, za kasztanem,
rozsiadły się niziutkie domki;
czyż ja nie tęsknię wciąż za tobą?
lecz ty się nie chcesz zbliżyć do mnie.

Pieśń 121

Trzepoczą swymi piórami dropie,
i na krzaczastym siadają dębie;
służba dla króla zła być nie może;
nie mogę zebrać pros swoich z pola,
na kim się wesprze ojciec i matka?
O, wy odległe nieba błękitne,
kiedyż to wszystko znajdzie swe miejsce?

Trzepoczą swymi skrzydłami dropie,
i na krzaczastą siadły *jujubę*¹;
służba dla króla zła być nie może
nie mogę zebrać pros swoich z pola,
cóż jeść więc będzie ojciec i matka?
O, wy odległe nieba błękitne,
kiedyż to wszystko znajdzie swój koniec?

Trzepoczą skrzydła lecących dropi,
co na krzaczastej siadają morwie;
służba dla króla zła być nie może,
nie mogę zebrać ryżu, ni prosa,
czym się pożywi ojciec i matka?
O, wy odległe nieba błękitne,
kiedyż to wszystko da się pogodzić?



* O *Księdze Pieśni* — *Szy King* patrz PO nr 2(18), 1956, s. 199 i PO nr 4(28), 1958, s. 435.

¹ Drzewo u nas nieznane; soczysty jego owoc łatwo gasi pragnienie.

Pieśń 140

W bramie wschodniej jest topola,
 ach, jak liście jej wspaniałe!
 Mieliliśmy się spotkać zmierzchem,
 gwiazda błyszczy już poranna.

W bramie wschodniej jest topola,
 ach, jak liście jej przepyszne!
 Mieliliśmy się spotkać zmierzchem,
 gwiazda mruga już poranna.

Pieśń 149

Nie stąd smutek, że wiatr wieje,
 nie stąd smutek, że wóz pędzi:
 w tył, na drogę Czou spoglądam,
 w sercu swoim ból odczuwam.

Nie stąd smutek, że wiatr dmucha,
 nie stąd smutek, że wóz trzęsie:
 w tył na drogę Czou spoglądam,
 w sercu swoim jestem smutny.

Kto uwarzyć może rybę?
 ja mu kocioł przygotowuję.
 Kto na Zachód w dom powraca?
 dobrym słowem go obdarzę.

Pieśń 150

Jak skrzydelka zwiewnych jętek,
 tak bogate są twe suknie;
 serca smutek przeogromny...
 przybądź do mnie i zamieszkaj!

Jak skrzydelka zwiewnych jętek,
 tak jest pełna barw twa szata;
 serca smutek przeogromny...
 przybądź do mnie i spoczywaj!

Ulatują zwiewne jętki,
 lniana szata jak śnieg biała;
 serca smutek przeogromny...
 przybądź do mnie i pozostań!



Z chińskiego przełożyła
 Marzenna Szlenk

MALOWANA SKÓRA

Tego dnia Wang Szeng z T'ai-juan wyszedł z domu bardzo wcześnie. Droga była samotna dziewczyna, trzymając w ręku płaszcz z kapturem. Przyjrzał jej się, wydała mu się bardzo piękna. Ogarnęło go uczucie wielkiego podniecenia.

Usiłował nadążyć jej krokom, po prostu zaczął ją gonić. Gdy tylko się z nią zrównał zapytał, co robi samotnie na drodze o świcie.

— Szukam spokoju. A w ogóle po cóż te zbędne pytania?

— Odpowiedz mi proszę, co cię gnębi, może będę mógł ci pomóc?

— Mam bardzo chciwych rodziców — powiedziała — sprzedali mnie jako nałożnicę pewnemu Czu-menowi. Jego pierwsza żona jest bardzo zazdrosna. Ubliża mi od rana do wieczora i robi awantury. Nie mogę już dłużej tego znosić. Postanowiłam uciec stamtąd.

— Dokąd? — zapytał.

— Skądże ja to mogę wiedzieć, nieszczęsna?

— Wiesz, niedaleko stąd jest mój nędzny dom. Przestań więc się trapić, chodźmy tam.

Zgodziła się z radością. Szeng odebrał od niej płaszcz i razem poszli w kierunku domu. Była tylko niespokojna i pytała, czy ma dużą siostrę i kto jest w domu.

— Pójdziemy do mego gabinetu — proponował.

Cieszyła się, że to będzie doskonale, że będzie jej tak samo dobrze jak zazdrosnej żonie.

— Trzeba tylko zachować tajemnicę — prosiła. — Nikomu ani słowa.

Szeng przyrzekł jej to solennie. W domu położyli się razem.

Przez kilka dni udało się Szengowi utrzymać tajemnicę przed domownikami. Potem jednak nie wytrzymał i zwierzył się żonie. Żona jego Czeng powiedziała mu, że to na pewno jest prostytutka i radziła ją szybko przepędzić z domu. Szeng nie chciał jednak nawet o tym słyszeć.

Jednego dnia Szeng poszedł na plac targowy. Spotkał tam pewnego mędrca, który bacznie mu się przyjrawszy, wypytywał z przestachem, co się z nim dzieje, że tak strasznie źle wygląda. A kiedy Szeng milczał zdumiony, spytał:

— Widać na tobie działanie jakichś złych mocy. Czemu nic nie odpowiadasz?



Szeng opowiedział mu o spotkanej kobiecie. A gdy się żegnali, mędrzec wypowiedział przestrożę:

— Powiem ci prawdę starą jak świat. Człowiek zawsze dawał się zwodzić. Śmierć jest niekiedy tuż przy nim, a on z tego nie zdaje sobie zupełnie sprawy.

Początkowo Szeng nie pojął znaczenia słów mędrca, ale kiedy zaczął je rozważać, obudziły się w nim podejrzenia. Uświadomił sobie, że było coś dziwnego, nierzeczywistego w spotkanej na drodze kobiecie. Potem jednak przyszła mu myśl, że może mędrzec chciał go zastraszyć i zyskać w ten sposób dla siebie jakąś ofiarę. Kiedy jednak przybył do domu i zastał zamknięte drzwi od swego gabinetu, podejrzenia wróciły. Nie mogąc się dostać do wnętrza rozmyślał, co powinien zrobić. Obszedł dom wokoło. Drugie drzwi były także zamknięte. Wrócił więc pod okno swego gabinetu i chcąc zobaczyć co się tam dzieje, wspiął się na palce. W pokoju był kudłaty diabeł. Miał siną twarz i sterczały mu ostre kły jak zębiska piły. Na łożu leżała rozpostarta skóra ludzka. Demon dzierżąc w łapie pęk różnych pędzli zajęty był malowaniem jej. Po chwili odrzucił pędzle, strząsnął skórę tak jak się to robi z odzieżą i włożył ją na siebie. Przeobraził się w kobietę. Wstrząśnięty do głębi tym, co podpatrzył, Szeng zdołał jeszcze dojrzeć, jak potwór-kobieta układała się na łożu i potem pospiesznie pobiegł w poszukiwaniu mędrca. Nie mógł go znaleźć, wreszcie dopadł go w polu. Padł przed nim na twarz i błagał o ratunek.

— Chcesz, bym go wygnał z twego domu — powiedział mędrzec. — Może to być zarówno dobry jak i zły sposób. Zaczniemy inaczej. Zabić go bałbym się. Chwilowo zawieś na drzwiach domu łapkę na muchy. Przyjdź potem do świątyni, pomyślimy, co robić dalej.

Szeng wrócił, zawiesił łapkę, a bojąc się wchodzić do swego pokoju, położył się wewnątrz domu. Po kilku godzinach spoza drzwi gabinetu dobiegł jakiś hałas. Posłał żonę, by sprawdziła, co się tam dzieje. Nie minęła długa chwila, gdy w drzwiach zjawiła się spotkana na drodze kobieta. Zobaczyła zawieszoną na drzwiach łapkę i cofnęła się z lękiem. Stała szczerząc zęby. Odeszła nawet, ale tylko na chwilę.

— Chciał mnie nastraszyć ten mędrzec — mruczała gniewnie — nic z tego, ja i tak wejść. Napluję na ciebie. — To mówiąc zerwała łapkę, połamała na drobne kawałki i wtargnęła do pokoju. Podeszła wprost do łoża Szenga. Rozdarła mu pierś pazurami, obiema rękami wydarła serce i wybiegła. Na krzyk żony Szenga zjawiła się służąca ze świecą. Szeng już nie żył. Z rozdartej piersi lała się obficie krew. Żona cicho łkała.

Rankiem następnego dnia żona poleciła młodszemu bratu Szenga Er-langowi, by poszedł zawiadomić mędrca o tym co się stało. Mędrzec wzburzył się ogromnie.

— To straszne — powiedział. — Diabeł musi być jednak gdzieś w pobliżu.

Poszedł razem z Er-langiem. Kobiety-diabła nie było nigdzie. Mędrzec rozejrzał się wokoło.

— Na szczęście daleko stąd uciec nie mogła — powiedział. Spytał potem kto mieszka w Południowym Pawilonie.

— Mieszka tam niejaki Siao-Szeng — powiedział Er-lang.

— Teraz na pewno ona przebywa u ciebie — zwrócił się mędrzec do Er-langa. Er-lang wystraszył się bardzo, mówił, że to niemożliwe. Wtedy mędrzec spytał go, czy jest kto w domu, kto by mógł powiedzieć, czy nikt tam nie przychodził.

— Służący poszedł do świątyni — odparł Er-lang — nie wie na pewno, trzeba jednak pójść do domu i zapytać.

Poszedł i po chwili wrócił.

— Rzeczywiście — powiedział — rankiem przyszła jakaś kobieta, starsza. Chciała się zgodzić na służbę do robót domowych. Służący zatrzymał ją. Może tam jeszcze jest.

— Tego się spodziewałem — powiedział mędrzec. Wszyscy udali się do domu Er-langa. Mędrzec zabrał ze sobą drewnianą halabardę. Zdecydowany już co ma robić wykrzyknął:

— Teraz ten demon z ludzką twarzą odpowie za wszystko. Ja go wypędzę.

Wewnątrz domu stara kobieta biegła w podnieceniu z pobladłą twarzą. Wyślizgnęła się na dwór szukając kryjówki. Mędrzec pogonił za nią. Dopadł jej. Upadła na wznak. Ludzka skóra rozdarła się i osunęła. Na ziemi leżał i charczał jak jakaś straszliwa świnia — diabeł. Mędrzec jednym ciosem swej drewnianej halabardy ściął mu łeb. I w tejże chwili ciało potwora zmieniło się w gęsty obłok dymu. Zbity kłęb otoczył miejsce, gdzie leżał diabeł. Mędrzec wziął wtedy naczynie wyrobione z dyni, wyciągnął z niego korek i postawił w sam środek dymu. Rozległ się świst jakgdyby wydmuchiwanego powietrza. Trwało to мгние oka. Potem dym zniknął. Mędrzec zakorkował starannie naczynie i wsadził je z powrotem do swej torby. Na ziemi leżała skóra ludzka. Nie brakowało na niej niczego. Wszyscy widzieli wyraźnie: brwi, oczy, ręce i nogi. Mędrzec podniósł skórę i zwiniął ją. Chrząściła jak zwijany obraz. Potem, tak samo jak naczynie z dyni, ukrył zwiniętą skórę w swej torbie. Wreszcie zaczął się zegnać. Cała rodzina odprowadziła go do drzwi, płacząc i błagając, by przywrócił życie Szengowi. Mędrzec tłumaczył się, że nie potrafi tego dokonać. Wtedy wpadli w jeszcze większą rozpacz, schylili się na kolana i błagali o ratunek. Mędrzec zamyślił się głęboko i odezwał się po chwili:

— Moja wiedza jest płytka. Zaiste nie jest w mej mocy przywrócić życie zmarłemu. Wskażę wam tylko pewnego człowieka, który może będzie umiał to zrobić. Idźcie go poprosić. Musicie jednak wiedzieć o jednym, trzeba mu we wszystkim ulegać, by zechciał pomóc.

Pytali mędrca, co to za jeden, gdzie go mają szukać.

— Jest to ubogi, sparaliżowany człowiek. Czas spędza leżąc w przydrożnym rowie. Spróbujcie go wzruszyć waszą rozpaczą. Pamiętajcie tylko, że to człowiek zupełnie nieobliczalny, bez powodu wpada w straszliwą złość i okropnie wymyśla.

Podziękowali mędrce za wszystko, co uczynił dla nich i pożegnali. Ruszyli potem na poszukiwanie tego człowieka. Jak się okazało Er-lang znał go również.

Po jakimś czasie spostrzegli leżącego przy drodze żebraka, wyśpiewującego piosenki. Był tak straszliwie brudny i osmarkany, że budził odrazę. Pokonali obrzydzenie i na klęczkach zaczęli się do niego przybliżać.

— Cóż wy mnie tak kochacie, moi złociutcy — zarechotał żebrak.

Gdy wyjaśnili mu z czym przyszedli, zarechotał znów:

— Umarł człowiek. Jak ja mogę go przywrócić do życia.

A gdy Czeng błagała go pokornie nadal, odezwał się:

— Jakie to dziwne. Umarł człowiek, a wy przychodzicie mnie błagać bym go przywrócił do życia. Czyż wy sobie wyobrażacie, że ja jestem bogiem Jamą?

Gniew począł w nim wzbierać. Chwycił ciężką bambusową łagę i wymierzył ją w Czeng. Wytrzymała cios spokojnie. Nie był to jednak koniec. Żebrak gromadził w ustach zapas śliny, potem rozkaszał się i ogromną masę wypłuł w kierunku Czeng. Odezwał się przez zęby:

— Zjedz to!

Czeng stała się purpurowa. Twarz jej wyrażała krańcowe obrzydzenie. Przypomniła sobie jednak pouczenie mędrca. Przewyciężyła wstręt. Wzięła ślinę do ust. Uczuła wtedy, że gardło jej sztywnieje. Zdawało jej się, że oblepiają je jakieś wełniste kosmyki. Przełknęła. Ślina uwięzła gdzieś w piersiach.

Żebrak roześmiał się szeroko:

— Widzę, że mnie kochasz, złociutka!

Wstał potem i nie zważając na nikogo ruszył przed siebie. Poszedł do świątyni. Rodzina Szenga pospieszyła za nim. W świątyni otoczyli go i znów błagali, by im pomógł. Z powodu ciemności panujących we wnętrzu, nie widzieli nic wokół siebie. Chodzili po omacku. Nie otrzymali najmniejszego znaku, co mają robić. Zgnębieni do ostateczności wrócili do domu. Zabrano się do obrządków żałobnych. Zrozpaczona żona wyrzucała sobie, że była taka uległa. Czuła się shańbiona tym, co zrobiła. Szlochając i krzycząc, życzyła sobie śmierci. Domownicy bali się do niej zbliżyć patrzyli tylko z przerażeniem. Ona tymczasem pozbierała wnętrzności trupa. Robiła wszystko, co należy, płacząc straszliwie. Nagle poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Gdy odchodziła znad glinianego garnka, mimowoli rzuciła okiem do środka. Dostrzegła na dnie jakąś dziwną płataninę. Wybiegła w popłochu, zaraz jednak wróciła, była bliska omdlenia. W przerażeniu raz jeszcze spojrzała do wnętrza garnka. Leżało tam ludzkie serce.

Gdy je włożyła w rozdartą pierś zmarłego, serce zaczęło się od razu ruszać, jakby podskakiwać. Z wnętrza ciała zaczęło się dobywać gorące powietrze — para gęsta jak dym. Zdumiała się. Obiema rękami pospiesznie złączyła rozerwaną pierś. Trzymała z całej siły. Była jednak bardzo osłabiona i życiodajne powietrze uchodziło ze środka poprzez szczeliny. Urwała kolorową nitkę jedwabną i pospiesznie związała. Zaczęła potem rozcierać ciało zmarłego. Powoli stawało się cieplejsze. Poprawiła mu posłanie. Przez całą noc nie spuszczała zeń oka. Oddychał już nosem. W ciągu dnia ożył całkowicie. Zaczął mówić bełładnie jak człowiek wyrwany nagle z głębokiego snu. W pewnej chwili uczuł dotkliwy ból w sercu. Przyj-

rzał się śladom na ciele. Widniała tam blizna wielkości monety. Zdumiony wypytywał swych bliskich. Powiedział potem:

— Jakże niemądry jest świat! Gdy człowieka oślepi dziwność jakiejś rzeczy, dopatruje się w niej piękna, głupiec! Gdy oślepi go szlachetność, tłumaczy ją sobie jako fałsz.

Z chińskiego przełożyła
Halina Smisiewicz-Andrzejewska



NAM CAO

CHI PHEO

Nam Cao (1914—1951) należy do pisarzy, z którymi związane są początki nowej literatury wietnamskiej. Działalność literacką rozpoczął przed Rewolucją Sierpniową (1945 r.), lecz tylko trzy jego utwory ukazały się wtedy w druku. Pierwszym z nich było opowiadanie *Chi Pheo*, wydane w 1941 r. W dwa lata później ukazał się zbiór opowiadań *Nua dem (Północ)*, a w 1944 r. drukowana była w odcinkach w gazecie „Trung Bac chu nhat” jego powieść pt. *Chuyen nguoi hang xom (Opowieść o sąsiedzie)*.

W czasie wojny w Wietnamie Nam Cao współpracował jako korespondent z dziennikiem „Cuu quoc”, do którego nadsyłał materiały z okupowanej przez Francuzów prowincji Bac-can. W 1950 r. brał udział w kampanii, w wyniku której wyzwolone zostały północne rejony kraju. Na własną prośbę wysłany do okupowanych prowincji w delcie, został schwytany przez wroga i rozstrzelany w 1951 r.

Swoje przeżycia wojenne wykorzystał w licznych opowiadaniach pisanych w rzadkich wolnych chwilach, jakie pozostawały mu w niezwykle czynnej działalności. Po wojnie wszystkie te utwory ukazały się drukiem. Wznowiono również jego utwory przedwojenne. Po raz pierwszy wydana została wtedy powieść *Song mon (Zmarnowane życie)*, uważana za najbardziej wartościowy utwór Nam Cao.

Nam Cao znany jest również poza granicami Wietnamu. Niektóre jego utwory tłumaczone były na język chiński, rosyjski, niemiecki i francuski.

Opowiadanie *Chi Pheo* zostało zaczerpnięte ze zbioru pod tym samym tytułem, wydanego w 1957 r.

R. Ch.

*

*

*

Szedł i przeklinał. Zawsze, kiedy się upił, przeklinał. Zaczynał od bluźnierstw pod adresem nieba, ale ponieważ niebo nie odwzajemniało się — przeklinał życie. To też nie dawało mu satysfakcji. Pieniąc się ze złości kłął mieszkańców wioski Vu-dai. Tam znowu każdy był pewien, że Chi Pheo przeklina kogoś innego. Nikt się nie odzywał. Doprowadzało go to do szału! Musiał kłąć każdego, kto nie chciał się z nim kłócić. Ale wszyscy unikali awantur. Cholera! Szkoda tylko wódki! Szkoda nerwów! Co za ladacznica wydała na świat to nieszczęśliwe stworzenie po to tylko, by zadać mu tyle cierpień? Otóż to! Ją właśnie powinien przeklinać! Ją, która wydała na świat biednego Chi Pheo! Kłął zgrzytając zębami. Lecz czyż wiadomo, kto urodził Chi Peo? Chyba tylko Bóg jeden wie to. On nie wie. W wiosce Vu-dai też nikt nie wie...



Jakiś człowiek, idąc o świcie na połów węgorzy, znalazł go półnagiego, w podartej sukieneczynie, zsiniałego z zimna, obok opuszczonej cegielni. Zabrał go i oddał pewnej ociemniałej wdowie, ta z kolei sprzedała go bezdzietnemu garncarzowi. Kiedy garncarz umarł — chłopak został sam. Chodził więc na służbę od domu do domu. Mając dwadzieścia lat został parobkiem u sołtysa Kiena, obecnie honorowego naczelnika wsi. Bardzo młoda jeszcze, lecz często chorująca trzecia żona sołtysa, zmuszała podobno Chi Pheo, aby masował jej nogi, brzuch czy plecy. Opowiadano o sołtysie, że na zebraniach był bardzo srogi, cała wieś bała się go, lecz gdy wracał do domu, to on sam bał się swojej młodej trzeciej żony. Była to kobieta otyła, o różowych licach, a pan sołtys chorował na reumatyzm; tacy ludzie często niezbyt pewnie się czują w roli męża, a jednocześnie są niezwykle zazdrośni. Opowiadano też, że sołtys nie dowierzał silnemu i zdrowemu parobkowi, nie śmiał jedank wspomnieć o tym żonie. Krążyły też pogłoski, że parobek — lubiany przez trzecią żonę Kiena i cieszący się jej zaufaniem — wynosił po kryjomu pieniądze i ryż. Trudno byłoby dociec, ile w tym wszystkim było prawdy. Wiadomo jednak, że pewnego dnia Chi Pheo został aresztowany i odesłany do powiatu, gdzie dowiedział się, iż pójdzie do więzienia. Nie wiadomo, jak długo tam przebywał, ale słuch o nim zaginął na siedem czy osiem lat.

I oto pewnego dnia znowu pojawił się w wiosce. Zmienił się jednak nie do poznania. Podobny był do pirata! Głowa ostrzyżona, zęby jeszcze bardziej mu wybielały, opalony, a jakież straszne spojrzenie! Ubrany był w spodnie z czarnego jedwabiu i żółtą marynarkę. Obnażoną pierś pokrywał tatuaż wyobrażający smoka, feniksa i generała z buławą. Ręce również miał utatuowane. Wyglądał strasznie!

Już następnego dnia po powrocie widziano go na bazarze, jak pił wódkę pod psie mięso. Kiedy miał już dosyć, zabrał butelkę i poszedł pod bramę Kiena krzycząc i przeklinając. Kiena nie było w domu. Widząc dziwne zachowanie się Chi Pheo, pierwsza żona szturchnęła drugą, druga trzecią, trzecia zawołała na czwartą, żadna jednak nie ośmieliła się wyjść i spytać, czego ten nicpoń sobie życzy. Wyglądał zuchwale, w ręce trzymał butelkę, a w domu były same kobiety. W końcu zamknęły dokładnie drzwi, a Chi Pheo zaczął krzyczeć jeszcze głośniej.

Odpowiedziały mu tylko trzy psy. Trzy psy i pijak...! Można sobie wyobrazić harmider! Sąsiedzi zatykali uszy, ale w duchu cieszyli się pewnie: od dawna słyszeli tylko, jak pierwsza, druga, trzecia i czwarta żona Kiena przeklinają swoich sąsiadów; teraz wreszcie mieli okazję usłyszeć, jak ktoś obcy klnie całą rodzinę sołtysa. I to jak klnie! Jakież bogate słownictwo! Ludzie mówili między sobą: „Kienowie będą się teraz wstydzili głowę z domu wychylić. Przodkowie się chyba w grobach przewracają”. Łagodniejsi natomiast myśleli: „Ma szczęście Chi Pheo. Na pewno sołtysa nie ma w domu...”

Urząd sołtysa piastował w tym czasie Cuong, syn Kiena, mający sławę bardzo surowego i wyniosłego. Co by było, gdyby Cuong był w domu? Ci, którzy tak myśleli, mieli rację. Bo oto tam słychać już było wołanie: „Czego tu chcesz, ty znajdo! Po coś tu przyszedł?...” Tak! To głos sołtysa Cuonga. Sołtys Cuong już wrócił! Z pewnością... Otóż właśnie! Uderzenie w twarz! Odgłosy bójk! Jakaż zaciekle walczyli! Nagle dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła: to Chi Pheo razbił o bramę butelkę. Potem przekleństwa mieszały się z wołaniem o pomoc.

— Ludzie! Ratunku... Ludzie! Kienowie mnie zamordują! Sołtys Cuong mnie zabije, ludzie!...

Ujrzano, jak Chi Pheo wijąc się po ziemi krzyczał i kaleczył sobie szkłem twarz, całą zbroczoną krwią. Widok był przerażający. Kilka psów krążyło koło niego ujadając zapamiętałe. Sołtys Cuong stał obok poblady, z drwiącym uśmiechem, myśląc: „Ten łobuz tylko po to tu przyszedł, żeby wywołać skandal”.

Wokół gromadzili się już ciekawscy, powstał zgłęb jak na bazarze. Wszystkie cztery żony Kiena, czując się pewnie w obecności sołtysa, również przybiegły i z oburzeniem komentowały zajście. W rzeczywistości chciały się tylko przekonać, co się stało. Przypuszczały, że tym razem Chi Pheo postanowił umyślnie zrobić na złość Kienowi...

Lecz oto wrócił już Kien. Podniosłym, poważnym głosem spytał: „Co to za zbiegowisko?” Tu i ówdzie słychać było głosy powitania, ludzie rozstępowali się z szacunkiem, a Chi Pheo rozciągnął się nagle jak długi i leżąc bez ruchu jęczał cicho.

Kienowi wystarczył jeden rzut oka, aby zrozumieć o co chodzi. Piastując urząd sołtysa, potem naczelnika gminy, a teraz mając z kolei syna na tak poważnym stanowisku, przestał się już dziwić podobnym rzeczom. Przede wszystkim krzyknął na swoje żony, które — wymyślając Chi Pheo — chciały się przypodobać mężowi.

— Idźcie kobiety do domu. Robicie tu tylko zamieszanie. Potem, zwracając się do grupy wieśniaków, rzekł łagodniejszym nieco głosem:

— I wy, ludzie, też już idźcie. Po co się tak tutaj tłoczycie?

Czy to przez respekt dla Kiena, czy też dla własnego spokoju, tłum począł się powoli rozchodzić. Wieśniacy nie lubią awantur; wolą się też nie mieszać do takich rzeczy — nie należy do przyjemności występować w roli świadka. Wreszcie pozostał tylko Chi Pheo i obaj Kienowie. Stary Kien podszedł do Chi Pheo i poruszył go ostrożnie.

— Chi, chłopcze! Co ty wyrabiasz? — rzekł.

Chi Pheo, jęcząc przymknął oczy.

— Nie pozostało mi nic innego, jak tylko umrzeć przy was. Ale nawet i tym wam pewnie nie zaszkodzi. Czy któryś z was pójdzie za to do więzienia?

Kien uśmiechnął się wymuszenie. Miał bardzo miły uśmiech. Opowiadano, że wiele w swej karierze zawdzięcza uśmiechowi.

— Co ty wygadujesz? Kto cię tak bardzo skrzywdził, że musisz umrzeć? Czy życie ludzkie jest tak mało warte? Pewnie znowu się upiłeś?

A potem spytał łagodnie:

— Kiedy wróciłeś? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? Chodź, napijemy się herbaty.

Widząc, że Chi Pheo nie rusza się, mówił dalej;

— No, wstawaj! Przede wszystkim musimy się napić herbaty, a jeśli masz coś na sercu — porozmawiamy szczerze. Po co robić zaraz awanturę. Ludzie już się dowiedzieli i będzie wstyd dla nas wszystkich.

— Co za nieszczęście! — mówił z żalem w głosie, próbując podnieść Chi Pheo.

— Gdybym był w domu, nigdy by do tego nie doszło. Porozmawialibyśmy ze sobą i po wszystkim. Ludziom dorosłym wystarczy dwa słowa. Wszystko przez tego porywczego Cuonga; on nad niczym się poważniej nie zastanowi. Ale przecież wy obaj jesteście do siebie podobni.

Chi Pheo nie mógł się domyślić żadnego podobieństwa z sołtysem Cuongiem ale udobruchał się nieco. Usiadł, wciąż jednak udając rozgniewanego. Ale Kien wiedział już, że zwyciężył. Mrugnął okiem do syna i krzyknął:

— Cuong! To ty jesteś wszystkiemu winien. Natychmiast rozkaż służącym zaparzyć herbaty!

Podał Chi Pheo rękę pomagając mu wstać. Po chwili Chi Pheo zgodził się iść na herbatę, udając jednak, że kuleje. Alkohol przestał już na niego działać, nie krzyczał więc i nie przeklinał. Stracił przez to pewność siebie. Poza tym czuł się osamotniony, ponieważ widzowie rozeszli się. Nagle poczuł dziwny lęk, bo doszedł do wniosku, że jest nierozważny. Jakże inaczej można wytłumaczyć akt, że ośmielił się prowokować Kienów, którzy przez cztery pokolenia piastują urząd administratorów? Ale już w następnej chwili stwierdził, że jest odważny. Czymże on jest w tej wiosce? Nie ma tu nikogo bliskiego sobie, nie ma krewnych, rodzeństwa, rodziców... W takiej sytuacji, własnymi tylko siłami, ośmielił się walczyć z sołtysem, naczelnikiem gminy, przewodniczącym rady gminnej, honorowym naczelnikiem wsi, przewodniczącym rady powiatowej, posłem do parlamentu tonkińskiego, człowiekiem sławnym w wielu prowincjach. Czy znajdzie się ktoś w wiosce liczącej ponad dwa tysiące mężczyzn, kto potrafiłby tak postąpić? A jeśli już znalazł się taki, to czy nie szkoda, by zginął?

Lecz przeciwnie: ten stary traktuje go bardzo uprzejmie, zaprasza nawet na herbatę. Doskonale, pójdzie, skoro go proszą. Nagle jednak zawahał się: a może ten szczwany lis chce go zwabić do mieszkania i tam się z nim rozprawić? Tak, rzeczywiście, to jest bardzo możliwe! Na przykład, zacznie go bić, potem wezwie na pomoc wszystkie żony, będą go dusić, bić, wymyślać mu od złodziei — co wtedy? Z czym miałby się liczyć ten stary łotr? Zamiast pchać się tygrysowi w paszczę, lepiej już tutaj rzucić się na ziemię i zacząć krzyczeć.

Lecz zastanowiwszy się nieco doszedł do wniosku, że w ten sposób też nic nie zyska. W obawie przed starym Kieniem z pewnością nikt nie przybiegnie. Ponadto teraz, kiedy już nie jest pijany, nie będzie mógł kaleczyć sobie twarzy, w obawie przed zbyt wielkim bólem.

A więc wejdzie! Niech się dzieje co chce! Skoro ma sobie zrobić krzywdę, to już lepiej zrobić to u Kiena. Wreszcie może być i tak, że gdy Kien pokaże

prawdziwą twarz, Chi Pheo w najgorszym wypadku pójdzie do więzienia. Jest mu to obojętne. Wejdzie...

Gdy wszedł przekonał się, że obawy jego były całkiem zbyteczne. Stary Kien rzeczywiście zamierzał wejść z nim w układy. Nie dlatego, że się go bał, ale przede wszystkim przez chytrość. Trzeba być ostrożnym zarówno w stosunku do bohaterów, jak i do ludzi doprowadzonych do nędzy, ryzykujących życiem. Chi Pheo nie jest bohaterem — jest ryzykantem. Skoro tak — nie trzeba mu się przeciwstawiać. Należy postępować umiejętnie. Na urzędniczym stanowisku nie można być zawsze nieustępliwym. Kien ciągle powtarzał to swemu synowi. Cuong jemu tylko zawdzięcza swą siłę i godność sołtysa. Kiedy Kiena zabraknie, ludzie nie pozwolą jeździć sobie po głowie.

W rzeczywistości, być sołtysiem to nie takie proste. W wiosce takiej jak ta, liczącej ponad dwa tysiące ludności, zagubionej gdzieś na krańcach prowincji, łatwo jest przyjmować łapówki, nie znaczy to jednak, iż cała praca sołtysa polega na oszukaństwie. Przed kilku laty, przechodzący tędy geomanta powiedział, że wioska leży w nieszczęśliwym miejscu, zwanym w geomancji „ławicą ryb walczących o żer”. Starszyzna wioski to nic innego, jak takie właśnie ryby. Walczą o jakże smaczny żer! Wszyscy chcą jeść, toteż wszyscy są dla siebie pozornie bardzo uprzejmi, ale w duchu życzą sobie nawzajem niepowodzenia z nadzieją, iż sami obejmą wreszcie władzę. Nie wiadomo, czy taki Chi Pheo, który wywołał awanturę, nie został na przykład przez kogoś nasłany. Gdyby Kien uległ — awantura wiele go może kosztować. Wprawdzie piastując tak wysokie stanowisko łatwo jest innym udowodnić winę, nic też trudnego wtrącić Chi Pheo do więzienia — czyż to jednak zapewni mu spokój? Pewnego dnia przecież stamtąd wróci. Kien do dziś jeszcze ma świeżo w pamięci historię z Nam Tho.

Nam Tho był to chłopak przykry jak guz na czole. Kien zaczynał wtedy pełnić funkcję sołtysa i zdaje się, że od pierwszej chwili walczyli ze sobą. Kien chciał się go w jakiś sposób pozbyć, ale nie miał jakoś ku temu okazji. Po pewnym czasie Nam Tho popełnił jakąś drobną kradzież i został aresztowany. Wtedy sołtys zaczął tak manewrować, że chłopak znalazł się w więzieniu. Kien tłumaczył sobie, że człowiek, który tak nisko się stoczył, nie będzie miał odwagi pokazać się ponownie w wiosce. Cieszył się w duchu, że wreszcie ma spokój.

Aż oto pewnego wieczoru, gdy samotnie porządkował akta, do mieszkania wtargnął Nam Tho, uzbrojony w nóż. Rozparł się w drzwiach i powiedział: „Jeśli spróbujesz krzyczeć — zabiję cię”. Potem przedstawił całą sprawę: uciekł, z więzienia i przyszedł prosić o dokumenty na nazwisko uczciwego człowieka oraz o sto piastrow, które umożliwiłyby mu dalszą podróż. Na koniec powiedział, że jeśli sołtys spełni jego żądanie — to on zniknie, w przeciwnym wypadku zabije go. Do wyboru...

Rzecz jasna, Kien żądanie spełnił. Tym razem po Nam Tho ślad zaginął i nigdy już nie ujrano go w wiosce. Tak już jednak w życiu jest: gdy bambus się starzeje — wypuszcza młode pędy. Odszedł Nam Tho — pojawił się znowu Binh Chuc. Początkowo był to niezwykle łagodny człowiek. Bez słowa wykonywał wszelkie polecenia, drżał ze strachu, gdy ktoś na niego krzyknął; zamiast jednego

piastra podatku — oddawał dwa. Gdy jego żona flirtowała z innymi — nie śmiał zwrócić uwagi i dopiero po powrocie do domu robił jej piekło. Zwykle tak bywa, że gdy ktoś jest zbyt łagodny, ludzie robią z niego głupca. A już szczególnie w tej wiosce mogą go doprowadzić do tego, iż więcej głowy nie podniesie. Binh Chuc ciężko pracował — mimo to przez cały rok cierpiał biedę. Każdy go wyzyskiwał a on wszystkim się poddawał. W końcu doprowadzony do ostateczności — wstąpił do wojska. Niestety, życie stało się dla niego jeszcze trudniejsze. Nie cierpiał już z powodu żony, bo chociaż dawniej bywał podrapany, to była to przecież jego własna żona. Teraz cierpiał, ponieważ stracił żonę. Była młoda, miała tylko dwoje dzieci, piękne oczy, różowe policzki — i nagle taka kobieta została bez męża. Jakże można było nie korzystać z takiego bogactwa?

Dom pani Binh stał blisko ulicy. Wstępowali tam panowie urzędnicy, wracając nocą z kart, zachodził też pan posterunkowy, a i inni sąsiedzi kierowali do niej swe kroki. Nawet taki Huong Dien, przypruszony już siwizną, co całe swoje życie spędził w służbie u sołtysów, nie omieszkiał wstąpić na niewinny flircik. Żona Binh Chuca, uprawiając swój proceder, nie musiała ponosić żadnych kosztów, a pomniejsi notable wioski często się u niej zmieniali. Łakomemu kaskowi nie oparł się i sołtys Kien, choć w owym czasie miał już trzy żony. Trzeba powiedzieć, że bardzo mu się to opłacało! Ilekroć pani Binh miała odebrać żołd lub przekaz pieniężny swego męża, musiała prosić Kiena o poświadczenie. Oczywiście, żaden sołtys nie opłaca z własnej kieszeni podróży i utrzymania jadąc poświadczyć za kogoś, ale jeśli chodzi o Kiena, to otrzymywał nie tylko na zjedzenie, wypicie oraz nieco kieszonkowego, lecz jechał w wspólnej rikszy z panią Binh Chuc i razem zostawali w miasteczku.

W ten sposób zniknęło kilka piastrow żołdu; nazajutrz dzieci pani Binh Chuc dostawały tylko kilka cukierków, a w najlepszym wypadku po kawałku pasztetu. W rezultacie, cały trud żołnierza dostarczał jego żonie raz w miesiącu przyjemnych chwil z sołtysem.

Chuc wiedział chyba o tym wszystkim, bo po upływie trzech lat nie wrócił do żony. Wkrótce potem otrzymano w wiosce rozporządzenie, aby odszukać przestępcę o nazwisku Tran-van-Chuc. Sołtys Kien oświadczył, że człowiek o takim nazwisku zniknął z wioski. Następnego dnia Chuc powrócił. Kien wysłał po niego służącego. Binh Chuc przyszedł natychmiast, prowadząc z sobą żonę i dzieci. Nim Kien zdążył coś powiedzieć, tamten wydobyl ogromny nóż i niebezpiecznie nim obracając powiedział: „Nie będę wcale przed panem ukrywał, że zabiłem człowieka. Jeśli nie okaże pan litości i każe mnie aresztować — żona i dzieci zginą z głodu. Skoro sążone im jest umrzeć, wolę ich zabić tutaj. Potem mogę iść do więzienia”. Oczy pały mu ogniem, nóż błyskał groźnie, na sam widok robiło się człowiekowi zimno. Całkiem możliwe, że popełnił morderstwo, i z pewnością nie poprzestałby na zabiciu żony i dzieci. Dlaczego miałby oszczędzić jego, Kiena? Po chwili namysłu sołtys obiecał mu pomoc. Zatai jego zbrodnię, a ilekroć otrzyma rozporządzenie oznajmi, że Chuc dotychczas nie powrócił.

W ten sposób Binh Chuc żył nadal w rodzinnych stronach. Okazało się teraz, że żona jest mu bardzo wierna i troskliwie się nim opiekuje. Dawni bywalcy domu

doszli do wniosku, że flirt z kobietą zamężną jest niemoralnością. Wszyscy byli niezwykle grzeczni, z wyjątkiem Binh, bo ten zupełnie się teraz zmienił. Nie spłacał podatku za dzierżawę ogrodu nikomu, nie pozwalał się zbliżyć do siebie, a na wszelkie próby zajęcia ogrodu pokazywał nóż. Nie było na niego rady, bo przecież wszystkiemu winien był sołtys, który ukrył przestępcę.

Widocznie jednak Binh ciągle był niezadowolony, przyszedł bowiem pewnego dnia z nożem do Kiena i powiedział mu prosto w oczy:

— Będąc w wojsku przysłałem do domu kilkaset piastrów. Nie wiem, czy żona wydawała na kochanka, czy też miała jakieś inne wydatki — dość, że nie ma już ani piastra. Kiedy ją o to spytałem powiedziała mi, że samotna kobieta boi się trzymać pieniędzy w domu i przechowuje je u sołtysa. Obawiam się że ona kłamie, dlatego zostawiłem ją w domu związaną. Obliczymy teraz, ile się u pana uzbierało. Niech tylko zabraknie jednego piastra — już ja wam pokażę!

Kien zrozumiał, że może być źle.

— Posłuchaj, Binh, co ci powiem — rzekł z szelmowskim uśmiechem. — Niezupełnie tak było, że twoja żona przysyłała mi pieniądze...

— Więc kto je zjadł — wrzasnął Binh wytrzeszczając oczy.

— Jeśli ci brak pieniędzy — odparł Kien szybko — przyjdź i powiedz mi. Twoja żona wydała już pieniądze i nic nie pomoże jeśli ją zabijesz — będzie tylko skandal.

Otworzył szkatułkę i rzucił Binhowi pięć piastrów. Tamten chwycił pieniądze, pokłonił się w pas, schował nóż i wyszedł. Od tej pory stał się w stosunku do sołtysa usłużny, mianując się jego sługą, lecz Kien od czasu do czasu musiał jeszcze dawać mu pieniądze. Aż do ubiegłego roku, kiedy Binh umarł...



Teraz znowu zjawił się Chi Pheo. Ten też był człowiekiem bardzo spokojnym. Sołtys Kien poczuł dla niego litość, gdy pewnego razu zobaczył go, jak się wzdragał masować nogi jego trzeciej żonie.

Nagle się zbuntował, stał się drapieżny. Pękły mocno zaciśnięte więzy. Stary Kien zrozumiał wtedy, że nie można gnębić ludzi do tego stopnia, żeby z konieczności opuścić musieli wioskę. Dziesięciu odejdzie — dziewięciu powróci bandytami. Rozsądny człowiek wie, na ile może sobie pozwolić. Najpierw skrycie popycha kogoś do wody, a potem zaskarbia sobie jego wdzięczność podając mu rękę; kłóci się o każde pięć piastrów, a kiedy je dostanie — rzuca pół piastra, „ponieważ lituje się nad twoją biedą”. Trzeba się i z tym liczyć, że ludzie zamożni nawet, ale mający ładną żonę i gromadę dzieci — boją się urzędnika i łatwo ich

zastraszyć. Z drugiej strony, zniszczenie człowieka bez rodziny nie przynosi żadnej korzyści. Prowokować ich — to znaczy stwarzać doskonałą okazję, aby różne partie obróciły się przeciw sobie.

W każdej wiosce jest wiele partii — każda grupuje się wokół jakiegoś przywódcy, na przykład partia Kiena, Tao, Dam, Tunga... Wszystkie są zgodne, jeśli idzie o wyzysk ludzi, lecz potajemnie walczą ze sobą, wykorzystując słabości swoich przeciwników. Kien doskonale wiedział, że w wiosce ludzie spokojni pracują tylko na utrzymanie administratorów, ale ci muszą często przemilczać pewne datki składane tym najbiedniejszym, ponieważ zawsze ryzykują, iż nożem, który mają w ręku mogą równie dobrze ugodzić kogoś, jak i zostać sami ugodzeni.

Kien nie lubi narzekać. To absolutnie nic nie daje. Płatnicy podatków dlatego całe życie spędzają w ucisku, iż potrafią tylko narzekać — nie widzą innego wyjścia. Co innego Kien: kiedy nie może sobie z kimś poradzić — używa go do walki z innymi. Wie, kiedy być srogim, a kiedy łagodnym; potrafi werbować sobie awanturników nie bojących się śmierci i więzienia — na tym polega wyższość jego partii nad przeciwnikami. Bardzo mu są przydatni tacy ludzie. Gdy zajdzie potrzeba — wystarczy dać im kilka *hao* na wódkę i z każdym sobie poradzą. Jeśli to będzie człowiek stanowczy — spalą go lub pchną nożem, jeśli będzie naiwny — zastraszą go albo sprowokują, by potem rzucić się na ziemię i wzywać ratunku. Kiedy wybuchnie awantura — jest okazja zarobić, w innym wypadku z tych spokojnych ludzi można przynajmniej wyciągnąć podatki. Podatek zbiera się tylko raz w roku i długo by trzeba ciulać cztery tysiące piasstrów na miedzianą pieczętkę.

Dlatego tej nocy Chi Pheo był bardzo zadowolony wychodząc od Kiena. Kien nie tylko mu nie wymyślał, ale nawet zabił kurę i kupił wódki, oraz dał mu piastra na lekarstwo. Cały piasstr, po co tak dużo? Chi Pheo szedł zataczając się i śmiejąc; przecież on nie potrzebuje na lekarstwo nawet trzech *xu*. W więzieniu nauczył się ludowego przepisu: kilka garści odpowiednich liści i twarz natychmiast się wygoi. Ten piasstr będzie na wódkę....



Pił przez trzy dni. Czwartego dnia, wytężając wzrok, powiedział do kobiety sprzedającej wódkę:

— Sprzedaj mi butelkę wódki na kredyt. Nie mam dzisiaj pieniędzy. Zapłacę ci wieczorem.

Stara kobieta wahala się. Chi Pheo wyciągnął pudełko zapalek i podpałił

dach chaty. Staruszka, krzycząc przeraźliwie, zdołała ugasić rozpalający się płomień. Wykrzywiając w płaczu usta podała butelkę.

— Nie można z tobą żyć w zgodzie — rzekł Chi Pheo pochylając się ku kobiecie. — Kupuję wódkę, czy chcę od ciebie za darmo? Uważasz, że nie chcę zapłacić, tak? Spytaj kogoś w wiosce, czy kiedy odmówiłem zapłaty. Nie brak mi pieniędzy. Kien jest mi jeszcze dłużny. Dziś wieczorem odbiorę i zapłacę ci.

— Nie śmiem w to wątpić — odparła kobieta, wycierając nos w połę sukienki — ale naprawdę mało mam pieniędzy.

— Nie masz pieniędzy — wrzasnął Chi Pheo — więc dziś wieczorem ci zapłacę. Cóż to, wieczora nie doczekasz, czy co?

I chwyciwszy butelkę odszedł.

Ponieważ do tej pory nie miał jeszcze własnego domu — skierował się do pagody nad rzeką. Po drodze ukradł z jakiegoś ogrodu kilka zielonych bananów, a ze sklepu garść soli. Stwierdził, że wódka również smakuje pod zielone solone banany. Zresztą jemu pod wszystko smakowała.

Gdy skończył pić, wytarł usta i chwiejnym krokiem skierował się do domu Kiena. Po drodze mówił każdemu, że idzie odebrać dług. Ujrzawszy go wchodzącego na podwórze, Kien wiedział, że Chi Pheo idzie zrobić awanturę. Oczywiście miał mętne, chwiejny krok, drżące blade usta. Na szczęście tym razem szedł bez butelki.

— Dokąd idziesz, Chi? — spytał Kien serdecznie.

Chi pokłonił się nisko.

— Dzień dobry. Proszę pana... przychodzę do pana z prośbą.

Mówił rozwlekłe, niezrozumiale. Zachowywał się raczej spokojnie. Belkotał z zakłopotaniem:

— Proszę pana, od czasu kiedy wsadził mnie pan do więzienia — bardzo lubię siedzieć w więzieniu. Prawdę mówię... proszę pana... niech mnie Niebo skarże, niech mnie ziemia pochłonie, jeśli kłamię. Co za szczęście — proszę pana — siedzieć w więzieniu. Tam miałem przynajmniej co jeść. Teraz, po powrocie do rodzinnej wsi, nie mam nawet kawałka własnej ziemi. Przyszedłem prosić pana, aby pozwolił mi pan znowu iść do więzienia.

— Znowu się upiłeś! — krzyknął Kien. Zwykle krzyczał w ten sposób, gdy chciał poddać próbie czyjeś nerwy.

Chi Pheo, z wytrzeszczonymi oczami i podniesionymi rękami, rzucił się do przodu.

— Mówię panu, że nie jestem pijany. Niech mi pan pozwoli iść do więzienia, bo jeśli nie — to... to... Wie pan?

Zaczął przetrząsać kieszenie. Znalazł: mały, lecz bardzo ostry nożyk. Zgrzytnął zębami i mówił dalej:

— Jeśli nie — zabiję kogoś. Wtedy będzie pan zmuszony odesłać mnie do powiatu.

Skulił się i zaczął skrobać stół z żelaznego drzewa. Kien roześmiał się dźwięcznie — zawsze dumny był ze swego śmiechu — wstał, poklepał Chi Pheo po ramieniu, i rzekł:



— Jesteś bardzo nierozsądny. Ale posłuchaj, Chi. Skoro koniecznie chcesz kogoś zabić, to nie ma w tym nic trudnego. Tao winien mi jest pięćdziesiąt piastków. Pofatyguj się do niego i odbierz w moim imieniu dług. Jeśli ci się to uda — będziesz miał ogród.

Tao był wysoko postawioną osobistością w wiosce. Partia jego była silna i ciągle walczyła z partią Kiena. Kien musiał często ulegać, ponieważ tamten był starym podoficerem, pobierał wysoką emeryturę, miał wiele znajomości i dobrze przemawiał. Dość dawno pożyczył od Kiena pięćdziesiąt piastków a teraz nie chce ich zwrócić, tłumacząc się, że pieniądze te zostały wliczone w sumę przeznaczoną na „herbatkę”, gdy Cuong został sołtysem. Kien wściekał się, lecz nie mógł na to nic poradzić. Binh Chuc, oddany jego sługa, który mógłby coś wskórać u Tao, zmarł w ubiegłym roku. Na szczęście trafił się teraz Chi Pheo, ten godnie zastąpi Binh Chuca. Kien umyślnie go sprowokował: nie zaszkodzi, jeśli napędzi strachu temu staremu; gdyby natomiast Chi Pheo dostało się od Tao — sołtys nic na tym nie straci.

Chi Pheo postanowił iść natychmiast. Skierował się wprost do domu Tao i już od bramy zaczął kląć. Gdyby to było innego dnia — byłaby awantura. Tao również skory był zawsze do bójki i nie poddawał się bez walki. Na szczęście jednak dla niego — a może na szczęście dla Chi Pheo — tego dnia leżał chory; nie przypuszczał też pewnie, że przekleństwa skierowane są pod jego adresem. Żona, widząc pijanego Chi Pheo i wiedząc doskonale o długu, w tajemnicy przed mężem wzięła pięćdziesiąt piastków i oddała służącemu Kiena, który przyszedł razem z Chi Pheo. Kobiety zawsze cenią spokój. Zdawała sobie również sprawę, że awantura kosztowałaby trzy razy tyle.

Tak więc Chi Pheo miał powód do dumy. „Niech się znajdzie taki bohater co się ze mną porówna” — myślał. Kien natomiast zwyciężył przeciwnika bez interwencji rady wiejskiej, bez sporządzania protokołu. Ofiarował swemu nowemu słudze całe pięć piastków.

— Cała pięćdziesiątka należy do ciebie, Chi. Obawiam się jednak, że jeśli weźmiesz wszystko — roztrwonisz w ciągu trzech dni. Weź tę część na wódkę, a za resztę sprzedam ci kawałek ziemi. Będziesz miał wreszcie z czego żyć.

Chi Pheo podziękował i odszedł. W kilka dni później Kien polecił Cuongowi wydzielić dla Chi Pheo pięć *sao* ogrodu nad rzeką, odebranego pewnemu wieśniakowi za niespłacony podatek. W ten sposób Chi Pheo dorobił się własnego dachu nad głową. Miał wtedy około 28 lat...



Teraz stał się człowiekiem bez wieku. Trudno było określić ile miał lat. Nie można było wywnioskować tego z wyglądu jego twarzy. To już nie była twarz człowieka. Upodobił się z nią raczej do jakiegoś dziwnego zwierzęcia, a przecież nie określi się z pyska wieku zwierzęcia. Twarz miał żółtą, pociętą wzdłuż i wszerz niezliczoną ilością blizn — pamiątek po awanturach. Ileż krzywdy i pogwałcenia! Do ilu krętałów i machinacji ludzie go zmusili. To jest właśnie jego życie, o którym nie wie, jak długo trwa. Ponieważ nie miał dowodu osobistego — w księgach rejestracyjnych wioski zaliczano go do zaginionych.

Pamiętał bardzo niewyraźnie, że kiedyś miał dwadzieścia lat, potem siedział w więzieniu, a potem miał dwadzieścia pięć lat. Ale czy tak było rzeczywiście? Od tej pory nie istniały dla niego dni i miesiące, bo zawsze był pijany. Upijał się nim zdążył wytrzeźwieć. Jadł po pijanemu, spał pijany — nawet budził się pijany. Nigdy nie był trzeźwy i nigdy chyba nie starał się uświadomić sobie, że żyje. Nie zdawał sobie chyba też sprawy z tego, że jest złym duchem wioski Vu-dai. Skądże mógł wiedzieć, ile krzywdy ludziom wyrządził? Skąd mógł wiedzieć, skoro wszystko robił po pijanemu? Robił co kazano. Wszyscy w wiosce bali się go i unikali jego twarzy.

Dlatego przeklinał, czy miał ku temu powody czy też nie. Nawet pijąc przeklinał. Kłął tak, jak inni śpiewają po pijanemu. Może gdyby umiał śpiewać — nie musiałby kłąć. Na nieszczęście swoje i ludzi — nie umiał śpiewać. Więc przeklinał, tak jak tego wieczoru...

Przeklinał niebo, życie i całą wioskę Vu-dai. Kłął każdego, kto się z nim nie kłócił. Ponieważ nikt się nie odzywał — dławiąc się własną złością przeklinał tę, która urodziła jego, który nikomu nie jest potrzebny. Przecież nie można kłąć samego siebie! Trzeba znaleźć jakiś pretekst, żeby się mścić. Będzie się mścił na wszystkich. Wejdzie do pierwszej napotkanej bramy i rozbije, spali albo zrobi awanturę. W pierwszej lepszej bramie. O! Już tam! Szybko!

Wszedł księżyc. Światło zalało nieskalanie białą drogę. Lecz cóż to pełnie drogą, czarne i bezkształtne? Zatacza się w prawo i w lewo, potem rozplywa, rozdziela się na części. Uporczywie trzyma się przy nogach Chi Pheo. Chi Pheo stanął przyglądając się ze zdumieniem — i nagle zatoczył się ze śmiechu. Śmiał się ciężko, hałaśliwie... Przyjemniej już było słuchać, jak przeklina. Przecież ten zniekształcony stwór na drodze to jego cień! Tak go to ubawiło, że zapomniał o zemście: minął już pierwszą bramę.

Teraz dochodzi do bramy Tu Langa, czarownika z rzadką brodą. Nagle wpadła mu do głowy myśl: wejść i rozbić gitarę, przy pomocy której stary Tu, ten na pół czarownik, wywołuje duchy. Bo stary Tu był czarownikiem i zarazem zajmował się kastrowaniem świń. Instrument jego miał fatalny dźwięk — brzmiał bardziej nieprzyjemnie dla ucha niż chrząkanie świń. Kiedy Chi Pheo wszedł — starzec pił właśnie wódkę. Pił po prostu na podwórzu, i gładząc brodę kiwał głową.

Chi Pheo stanął i patrzył. Stwierdził, że wszyscy pijący wódkę wyglądają bardzo interesująco. Nagle poczuł pragnienie nie do zniesienia. W jednej chwili znalazł się przy starcu, wyrwał mu butelkę i przechyliwszy ją do ust pił łapczywie. Dziadek wyciągnął szyję, podobną do szyi oskubanej kury, wytrzeszczył oczy — lecz nie powiedział nic. Nie mógł nic powiedzieć, bo język miał skołowaciały. Wypił już dwie trzecie zawartości butelki — resztę może wypić Chi Pheo.

Ten opróżnił butelkę i mlasnął ustami. Potem chwycił kilka kosmyków brody Tu, podniósł je do księżycowego światła i wybuchnął śmiechem. Starzec również się roześmiał. Nachylili się ku sobie i rechotali jak szaleńcy. Potem Tu Lang przyniósł z domu jeszcze dwie butelki. Akurat tyle mu zostało. Pij, Chi Pheo! Kiedy się pije — znikają wszelkie zmartwienia! Żona Tu Langa zmarła przed siedmiu czy ośmiu laty; córka poszła z domu z nieślubnym dzieckiem. Będąc sam — pił, kiedy miał na to ochotę. Pij i ty — zbłąkany przyjacielu! Napij się tyle, żebyś sikał wódką! Po co sobie odmawiać? Gdybyś był bogaty, szlachetny, gdybyś został urzędnikiem — to i tak po śmierci nikt nie powie: „oto wielki grób”. Tu Lang żyje już przeszło pięćdziesiąt lat i nie widział jeszcze wielkiego grobu. Same tylko groby, zwykłe groby. Każdy po śmierci staje się grobem — nawet ten, kto umiera z przepicia. Czym się gnębisz? Pij!

Nigdy jeszcze Chi Pheo tak się nie uraczył wódką. Dziwnym mu się wydało, że dziś dopiero pierwszy raz pije z tym dziadkiem.

Gdy opróżnili obie butelki, Tu Lang zaczął chodzić na czworakach po podwórzu. Łaził jak krab i pytał Chi Pheo, jakim sposobem ludzie mogą utrzymać się w pozycji stojącej. Chi Pheo podniósł starego, pogłaskał go po rzadkiej brodzie i chcąc go zostawić w spokoju — odszedł chwiejnym krokiem.



Szedł drapiąc sobie pierś, szyję, skronie, całą głowę. Czasem przystawał na drodze drapiąc sobie nogi. Nagle pomyślał o brzegu rzeki w pobliżu domu. Jego ogród leżał nad odnogą rzeki, gdzie woda była spokojna i przejrzysta. Na plaży rosły same morwy, ich miękkie pnienie falowały w podmuchach wiatru. W głębi ogrodu natomiast rosły bananowce. W takie księżycowe noce jak ta, ogród zapełniał się ich czarnymi cieniami, podobnymi do szat rozpostartych na

plaży. Wielkie powyginane liście zwisały ku ziemi, wchłaniając zielone, chłodne światło księżyca, jakby nasiąkając wodą.

Chi Pheo zagłębiał się w ogród. Nie wszedł jednak do chaty, lecz skierował się nad brzeg rzeki. Zamierzał się wykąpać, ponieważ podrapane ciało bolało nieznośnie. Nagle zatrzymał się, bo zdawało mu się, że w ogrodzie ktoś jest. Oniemiał z wrażenia.

Ujrzał kobietę. Z nosidlami na wodę na ramionach, z rozrzuconymi nogami, siedziała oparta o pień bananowca. Że była to kobieta — domyślił się po długich rozpuszczonych włosach spadających na nagie ramiona i piersi. Z rozłożonymi nagimi rękami, z ustami szeroko otwartymi do księżyca — spała, lub też była nieżywa. Nogi wyciągnięte, czarna szeroka spódnica... Prawdopodobnie rzuciła się we śnie, bo stanik jej opadł odsłaniając tłuste ciało. Wszystko wystawione do księżycowego światła. Księżyc wybielał to, co za dnia prawdopodobnie nie było białe: czynił to pięknym. Chi Pheo poczuł nagle, że w gardle mu wysycha. Ciało przebiegł dreszcz. Lecz jakże to może być? To przecież ona powinna się bać, ona — śpiąca w niedbalej pozie obok jego domu.

Tą kobietą była No, istota skończenie głupia, o jakich często słyży się w legendach, i nad wyraz szpetna. Jej twarz to ironia Stwórcy: tak krótka, iż można było sądzić, że jest szersza niż dłuższa. Do tego miała zapadnięte policzki; gdyby była pyzata — byłaby podobna do świni. Była to twarz, jakich spotyka się więcej niż ludzie przypuszczają. Nos miała krótki, szeroki, i czerwony pomarszczony jak łupina pomarańczy. Nadymał się z zamiarem wyparcia warg, które robiły wszystko, aby się nie poddać. Być może z tego wysiłku tak popękały. Na domiar złego No żuła betel z tytoniem i grube wargi, przez jego nawarstwianie, stały się jeszcze grubsze. Na szczęście warstwa betelu pozieleniała, ukrywając szary kolor ciała. Poza tym wystawały bardzo duże zęby, sądząc zapewne, że symetria umniejszy brzydotę.

A w ogóle była to kobieta niespełna rozumu, co zresztą było szczególną łaską sprawiedliwego Stwórcy: gdyby bowiem miała lepiej w głowie, czuła by się nie-szczęśliwa od chwili, gdy pierwszy raz spojrzała w lustro. Dobrze, że była biedna — w innym wypadku unieszczęśliwiłaby co najmniej jednego mężczyznę. Powodem niezdecydowania u mężczyzn było prawdopodobnie i to, że pochodziła z rodziny trędowatych. Ludzie unikali jej jak jakiegoś szkaradnego stworzenia.

Choć miała już ponad trzydzieści lat, była niezamężna. W Vu-dai zaręczano się w wieku ośmiu lat, a piętnastoletnie kobiety z dziećmi nie należały do rzadkości. W takiej sytuacji mówiło się tylko: No nie ma męża.

Lecz ona też jeszcze nie darzyła nikogo uczuciem, za wyjątkiem starej ciotki, również niezamężnej. Widać przeznaczenie tak chciało, aby nikt na tym świecie nie był samotny. Ciotka pracowała u pewnej kobiety handlującej bananami i betelem, i pływała łodzią do Haiphongu, czasem aż do Hong-gai, Cam-pha. A No żyła z drobnych dorywczych prac we wsi. Obie mieszkaly w bambusowym domku za tamą, obok ogrodu Chi Pheo. Prawdopodobnie dlatego No nie bała się człowieka, przed którym drżała cała wioska. Ludzie, którzy pracują w ogrodzie zoologicz-

nym opowiadają, że tygrys i pantera potrafią żyć zgodnie jak koty. Szczerze mówiąc No nie miała powodu bać się Chi Pheo. Człowiek nie obawia się że ktoś inny może wyrządzić krzywdę jego brzydocie, biedzie i głupocie, a to był cały majątek No. Zresztą, kto śpi — nie jest groźny. Chi Pheo przychodził do domu tylko spać.

No codziennie musiała kilkakroć przechodzić przez jego ogród, ponieważ wtedy wiodła ścieżka do rzeki. Dawniej korzystała z niej cała wioska idąc się kąpać, prać lub czerpać wodę. Od czasu, gdy zamieszkał tu Chi Pheo, ludzie szukali innych ścieżek, nawet jeśli było trzeba nadłożyć drogi. Ale nie No. Ta zawsze postępowała inaczej niż wszyscy. Dla ryzyka, przez upór, a może z przyzwyczajenia wciąż jeszcze chodziła dawną ścieżką i jakoś nic jej się nie stało. Pewnego razu, gdy Chi Pheo spał, przyszła do niego po ogień, kiedy indziej prosiła o odrobinę wódki do smarowania nóg. Chi Pheo odburknął tylko, żeby wzięła ile chce i pozwoliła mu spać. No dziwiła się, dlaczego ludzie tak go nienawidzą.

Tego dnia jak zwykle No poszła do rzeki po wodę. Księżyc świecił jakoś inaczej. Rozprysł się na powierzchni rzeki, która marszczyła się milionem złotych fal. Przyjemny był widok poruszających się wolno fal, lecz kiedy się długo na nie patrzyło — nużyły wzrok. Wiatr chłodził jak wachlarz. No poczuła senność. Miała taką ułomność, że w niespodziewanych momentach ogarniała ją senność, bez względu na to, gdzie się znajdowała i co robiła. Ciotka wmawiała w nią, że to oznaka słabej woli.

No postanowiła odpocząć chwilę. Od południa ciężko pracowała i była szczęśliwa znalazłszy taki chłodny zakątek. Zdjęła ubranie i usiadła opierając się o pień bananowca, w pozie wprowadzie niezbyt przyzwoitej, lecz obce jej było pojęcie nieprzyzwoitości. Ludzie o słabej woli rzadko się nad czymś głębiej zastanawiają. Zresztą wokół nikogo nie było. Chi Pheo nieprędko chyba wróci, a jeśli nawet — to pijany, i natychmiast położy się spać. Po cóż miałby tu przychodzić? Powiedzmy jednak, że przyjdzie. Nie obawiała się, że zrobi jej krzywdę, po prostu dlatego, że nikt jeszcze nie próbował jej skrzywdzić. W rzeczywistości wcale jednak tak wiele nie myślała. Mózg jej ogarnął cień.

Chi Pheo drząc upajał wzrok. Ostrożnie zbliżył się do No. Po raz pierwszy od czasu powrotu do wioski stąpał tak ostrożnie.

No przeciągnęła się we śnie. Nagle Chi Pheo rzucił się na nią. Szamocząc się wściekle otworzyła oczy i rozpoznała Chi Pheo. „Puszczaj... Będę krzyczeć... Zawołam pomocy” — syczała zadyszana. Chi Pheo parsknął śmiechem. Dlaczego miałaby wzywać pomocy? Sądził, że tylko on tak robi. Przewracając kobietę zaczął nagle wzywać ratunku. No patrzyła zdezorientowana, a on nie przestawał krzyczeć. Na szczęście nikt już nie reagował na jego wrzaski — ludzie kłękli tylko i spali dalej. Gdy Chi Pheo wołał o pomoc, to jakby ktoś inny śpiewał dla rozrywki. Tylko psy w wiosce zaszczekały.

Nagle No wybuchnęła śmiechem. Stawiając nadal opór biła go rękami po plecach. Miłe to były jednak uderzenia, bo gdy przestała bić, ręce jej poczęły się mocno zaciskać na jego plecach. Roześmiali się do siebie...

Teraz spali w uścisku... Gdy dziecko się nasyci — zasypia. Spali tak smacznie,

jakby nigdy dotychczas nie zaznali rozkoszy snu. Tylko księżyc czuwał... Rozsiewając po rzece pył, a rzeka falowała złotem...

Lecz nad ranem Chi Pheo przebudził się nagle z nieznośnym bólem żołądka. Za każdym podmuchem wiatru wstrząsały nim dreszcze. Chciał wstać, lecz głowę miał ciężką, a nogi uginały się pod nim. Zaczął kasłać. Wiedział, że poczuje się lepiej, jeśli zwymiotuje. Wsadził palec do gardła. Miał wrażenie, że wnętrzności unoszą się do góry, lecz wyrzucały tylko ślinę. Po chwili zastanowienia powtórzył zabieg. Tym razem ze skutkiem. Wymiotował całą zawartością wnętrzności. No przebudziła się i patrzyła z przerażeniem. Długo musiał pracować jej ciężki mózg, nim zrozumiała co zaszło.

Wreszcie, wyczerpany do ostateczności, Chi Pheo rzucił się na ziemię. Przymknął oczy i jęczał cicho. Tyle tylko sił mu zostało. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. No zbliżyła się i kładąc rękę na jego piersi spytała:

— Lepiej się już czujesz?

Zwrócił na nią oczy i patrzył przez chwilę.

— Pójdziemy do domu?

Chciał skinąć głową, lecz tylko powieki mu drgnęły.

— No to wstawaj.

Jakże on miał wstać? Musiała mu w tym pomóc. Uwiesił się jej na szyi i oboje, zataczając się, ruszyli w kierunku chaty.

Zamiast łóżka była tylko bambusowa ława. No ułożyła na niej Chi Pheo i przykryła strzepami mat. Po chwili zasnął. Jej również oczy kleiły się do snu, lecz w mieszkaniu pełno było moskitów. Moskity przypomniały jej o ubraniu pozostawionym w ogrodzie. Ubrała się i nacierpnawszy wody poszła do domu.

Księżyc jeszcze nie zaszedł, było dość jasno. No miała zamiar spać, lecz kiedy sobie przypomniła całe wydarzenie, roześmiała się w duchu i poczęła się przewracać z boku na bok.



Gdy Chi Pheo otworzył oczy, był już późny ranek. Słońce stało wysoko, a ptaki świergotem przypominały o rozpoczętym dniu. Lecz w niskiej wilgotnej chacie panował jeszcze mrok. Tutaj zmierzch zalegał mieszkanie, gdy nastawało południe, a noc — gdy na dworze świtało. Chi Pheo nie wiedział o tym, bo nigdy nie był trzeźwy.

Teraz był zupełnie trzeźwy. Czuł gorycz w ustach. Ciało miał omdlałe, ręce i nogi bezwładne — a może spragnione wódki. Wstrząsnął nim dreszcz. Miał

wstręt do wódki, jak chorzy mają wstręt do jedzenia. Ptaki tak radośnie śpiewają! Słysząc śmiech i rozmowy ludzi spieszących na targ. Rybak uderza wiosłem płosząc ryby. Chi Pheo dopiero dzisiaj to wszystko usłyszał... Boże, jakże smutno!

— Po ile dziś sprzedają płótno?

— Staniało o trzy *xu*.

— To bardzo tanio!

— Jak się dobrze naciągnie, to można zarobić pięć *xu* na beli.

— Możliwe. Ale to się nie opłaca...

Chi Pheo domyślił się, że rozmowę prowadzą dwie kobiety idące do Nam-dinh z płótnem. Jeszcze bardziej spochmurniał, bo ten urywek rozmowy przypomniawszy mu coś bardzo odległego. Wydawało mu się, że był w jego życiu taki okres, kiedy pragnął założyć rodzinę. On pracuje w ogrodzie, żona tka płótno, hodują prosięta. Gdy stają się dość zamożni — kupują kilka *sao* ziemi pod uprawę.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest stary i osamotniony. Ma już przeszło czterdzieści lat... Tak, to stanowczo nie jest wiek, w jakim można by zacząć prawdziwe życie. Zbliża się już ku swemu krańcowi. U takich ludzi jak on, jedna dolegliwość może być sygnałem alarmującym, że organizm jest już mocno nadwyrężony — tak jak jesienna burza, która obwieszcza zmianę pogody. Chi Pheo wyobraził sobie swoją starość. Lękał się jej bardziej niż głodu, zimna i chorób.

No przerwała te przykre rozmyślenia. Weszła niosąc koszyk, a w nim garnek przykryty pokrywką. Przyniosła zupę cebulową, jeszcze gorącą. Resztę nocy spędziła bezsennie. Myślała o Chi Pheo. Współczuła mu, jak się współczuje chorremu pozostawionemu bez opieki. Kiedy przechodził nocą, mogło mu się coś stać, gdyby jej tam nie było. Mogła powiedzieć, że uratowała mu życie i czuła się dumna. Kochała Chi Pheo. Była to miłość człowieka czyniącego dobro, lecz zarazem całe oddanie człowieka doznającego dobro. Kobieta taka jak No tym bardziej nie mogła o tym zapominać. Pomyślała, że niewdzięcznością było by opuścić go w nieszczęściu. Mimo wszystko żyli przecież z sobą jak „małżeństwo”. Słowo to wydawało jej się wstydlive, lecz jakoś dziwnie miłe. Zawierało się w nim ukryte marzenie nieszczęśliwej kobiety. A może to rozkosz zbudziła uczucie, którego dotychczas nie знаła.

Zapra gnęła natychmiast zobaczyć Chi Pheo. Dziwny to człowiek. Kładzie się obok niej, wcale się nie krępuje, a kiedy ona uderza w krzyk — on krzyczy jeszcze głośnie j. Dlaczego on tak krzyczał? Ale dobrze mu tak. Ciekawe, jak się teraz czuje? Pewnie jest bardzo zmęczony. Przede wszystkim musi coś zjeść. Na taką chorobę najlepsza jest zupa cebulowa. Wypoci się i natychmiast wyzdrowieje. Skoro świt pobiegła szukać ryżu. Cebulę, na szczęście miała jeszcze w domu.

Chi Pheo był zdumiony, a gdy spojrzał na No oczy miał wilgotne. Po raz pierwszy kobieta przygotowała mu posiłek. Nigdy nie dawano mu nic dobrowolnie. Zwykle musiał straszyć lub kraść. Ze zdziwieniem patrzył na miszkę parującej zupy.

No obserwowała go ukradkiem i nagle roześmiała się szeroko. W tej chwili Chi Pheo dostrzegł w niej pewien urok. Miłość czyni pięknym. Chi Pheo zachowywał się swobodnie, lecz na jego twarzy malował się smutek. I jeszcze coś —

jakby skrucha. Bardzo możliwe, że tak było. Ludzie często mają wyrzuty sumienia, gdy zabraknie im sił, by czynić zło.

No zwróciła mu uwagę, że zupa wystygnie. Chi Pheo podniósł miskę do ust. Boże! Co za zapach! Wystarczy nim oddychać, a już człowiek czuje się lekko. Pomyślał, że kto przez całe życie nie próbował zupy cebulowej, nie ma pojęcia, jaka jest smaczna. Jak to się jednak stało, że on jej dotychczas nie jadł?

Zadał sobie to pytanie i natychmiast znalazł wytłumaczenie: czy był ktoś, kto by mu taką zupę ugotował? Czy kiedykolwiek będzie? Żadna kobieta nie próbowała się o niego zatroszczyć.

Pamięta jedną, która kazała sobie masować nogi. Gdy go prosiła, żeby masował wyżej, myślała tylko o własnym zadowoleniu, nie kochała go. Miał wtedy dwadzieścia lat. W takim wieku człowiek nie jest z kamienia, nie może być biernym narzędziem. Nie daje zadowolenia to, czym się pogardza. Masować kobiecie nogi! Bardziej się tego wstydził niż lubił, a przede wszystkim bał się. Od kiedy żona gospodarza zaczęła go wzywać do wykonywania tej niemoralnej czynności, wykonywał ją i wzdrygał się. Odmówić było niemożliwością: w domu wszystkim rządzą kobiety. Był tak opieszwały w swej czynności, że kobieta często wybuchała gniewem. Przekonała się wreszcie, że na nic wszelkie subtelności; do niego trzeba prosto z mostu. „Jakiś ty naiwny — powtarzała. — Chłopak dwudziestoletni, a zachowuje się jak staruszek”. Udawał, że nie rozumie. A ona mówiła lubieżnie: „Czy po to tylko cię wzywam, żebyś mi masował nogi?”... i widząc, że Chi Pheo waha się, zaczynała mu wymyślać. Spotykał go tylko wstyd, nie odczuwał miłości. Nie, nie mógł do tej pory pokochać żadnej kobiety.

Dlatego miska zupy przyrządzona przez No wprawiła go w taką zadumę. Mógł przecież znaleźć przyjaciela, dlaczego narobił sobie tylko wrogów?

Miska została opróżniona. No przyniosła garnek i ponownie ją napełniła. Chi Pheo spocił się okropnie. Pot płynął mu po twarzy wielkimi kroplami. Przeciągnął rękawem po nosie, uśmiechnął się i znowu zabrał się do jedzenia. Im więcej jadł, tym bardziej się pocił.

No patrzyła kiwając z politowaniem głową. Podobny był teraz do dziecka. Zaczął się z nią przekomarzać. A jaki był łagodny. Nikt by nie powiedział, że to ten sam Chi Pheo, który tłukł głowę, kaleczył twarz i mordował ludzi. Taki jest jego charakter, ukryty na codzień. A może to choroba, która wprowadziła zmiany fizjologiczne, zmieniła również jego psychikę? Ludzie słabi są zwykle łagodni. Trzeba być silnym, żeby czynić zło. On nie miał już siły.

Czasami sam zastanawiał się nad tym i niepokoił się. Od dawna żył tylko z kradzieży i pogróżek. Co będzie, jeśli kiedyś zabraknie mu sił, aby kraść i straszyć. Naturalnie, jest ryzykantem. Lecz uświadomił sobie, że nadejdzie taka chwila, iż nie będzie mógł więcej ryzykować. Jakież to będzie straszne! Zapragnął nagle stać się dobrym, żyć w zgodzie z wszystkimi. No będzie wskazywać mu drogę. Jeśli ona może się z nim zgodzić, dlaczegoż by nie mogli inni? Przekonają się, że nie szkodzi nikomu i przyjmą go do swego społeczeństwa ludzi uczciwych... Z niepokojem patrzył na No, jakby oczekując od niej potwierdzenia. Ona wciąż milczała, uśmiechając się z zaufaniem.

— Chciałabyś, żeby tak zawsze było? — spytał Chi Pheo.

Nie odpowiedziała, lecz jej czerwony nos jeszcze bardziej nabrzmał. Chi Pheo nie zauważył tego.

— Zamieszkaj ze mną — powiedział czule.

Zrobiła do niego oko. Człowiek brzydki, gdy kocha, również potrafi robić oko. Chi Pheo wybuchnął śmiechem. No była uszczęśliwiona. Zdaje się, że kilka misek zupy odniosło pożądany skutek. Uszczypnął No i roześmiał się.

— Pamiętasz, jak to wczoraj było?

Szturchnęła go lekko udając zawstydzoną. Po co się wstydzić? Jest brzydka lecz skromna, więc też ją kocha. Pękał ze śmiechu, a chcąc ją jeszcze bardziej zawstydzić uszczypnął ją aż do bólu. Z przeraźliwym wrzaskiem chwyciła go za szyję usiłując przewrócić. Wyrażali swe uczucia bez pocałunków. Kto by się zresztą całował, mając wargi popękane niby ziemia w okresie posuchy, a twarz pociętą jak deska do siekania mięsa. Są przecież inne sposoby: szczypanie się, popychanie... o ileż praktyczniejsze...

Będą bardzo dobraną parą. Oni też tak uważali i postanowili się pobrać. Całe pięć dni i nocy No spędziła u Chi Pheo, z wyjątkiem chwil, gdy poszukiwali pieniędzy. Chi Pheo nadal nie stronił od wódki, lecz starał się pić naprawdę mało, dla zaoszczędzenia pieniędzy, a przede wszystkim dlatego, aby być rzeźkim w miłości. Kobieta można się upijać równie dobrze jak alkoholem. A on upijał się nią bez pamięci.

Ale No była anormalna. Szóstego dnia przypomniała sobie, że ma przecież ciotkę, która lada dzień wróci. Pomyślała, że należy się powstrzymać z miłością i zasięgnąć jej rady.

Na pytanie No stara wybuchnęła śmiechem. Wzięła wszystko za żart. Nagle przypomniała sobie, że dziewczyna jest niespełna rozumu i przerażała się. Możliwe, że pomyślała również o sobie, o swoim długim samotnym życiu. Wiedziała jakie to przykre. Dotychczas tała złość, a teraz przelała ją na No. Co za rozpustnica! To hańba! Kobieta po trzydziestce i jeszcze nie zrezygnowała z życia. Kto w takim wieku wychodzi za mąż? Do czego to podobne?! A jeśli już wychodzi za mąż to za kogo? Mężczyzn zabrakło, czy co? Chyba oszalała, że chce wyjść za takiego durnia. Przecież jedynym zajęciem tego człowieka jest kaleczenie sobie twarzy i awanturowanie się. Boże, co za hańba! Nie mieściło jej się w głowie, że trzydziestoletnia No nie zrezygnowała jeszcze z życia.

— Jeśli mogłaś żyć sama do tej pory — mówiła — to już daj sobie z tym spokój. Kto wychodzi za takiego Chi Pheo?!

No rozzłościły te perswazje, ale nie potrafiła oponować. Ciotka mogła tak mówić. Miała pięćdziesiąt lat i jeszcze za nikogo nie wyszła. No postanowiła dać upust złości. Szybko pobiegła do swego kochanka.

Zastała go pijącego właśnie wódkę i przeklinającego ją za to, że tak długo nie wraca. Nie potrafił czekać. Gdy musiał czekać, wyciągał wódkę i pił dla zabicia smutku. A kiedy się upił — przeklinał, nie panował nad językiem.

Lecz cóż ona zawiniła, że ją przeklina? Jakim prawem? Miała tego dość! Tupnęła nogą, a potem skoczyła jak czarownica. Chi Pheo był wyraźnie zainteresowany.

Kpi sobie ta No! Boże kochany, całkiem zwariowała! No podparła się pod boki, podniosła głowę i wydawszy ogromne wargi powtórzyła mu wszystko to, co usłyszała od ciotki. Dopiero po chwili Chi Pheo zrozumiał. Przez moment czuł zapach zupy cebulowej. Siedział skamieniały, bez słowa. No wyrzuciła już z siebie całą złość. Jej czerwony nos znowu nabrzmiał. Miała satysfakcję. Nagle odwróciła się zamierzając wyjść. Chi Pheo zerwał się zdumiony. O co chodzi? Po co ta awantura? Dopadł No i chwycił ją za rękę, lecz ona wyrwała się uciekając jeszcze szybciej.

Chi Pheo rzucił się na ziemię. Kiedy upadł — musiał krzyczeć, jak zwykle. Znalazł kawałek cegły i już miał uderzyć się w głowę, lecz chyba nie był jeszcze dostatecznie pijany bo pomyślał, że teraz tylko sobie robi krzywdę, nie narażając przecież nikogo na skandal. Pójdzie do tej dziwki. Zamorduje ją i tę starą. Kiedy to się nie uda — dopiero wtedy zrobi awanturę.

Ale najpierw trzeba się porządnie upić, żeby mieć w sobie więcej krwi. Był jednak nazbyt zdenerwowany i im więcej pił, tym bardziej czuł się trzeźwy. Jakiż on nieszczęśliwy! Nawet alkohol nie mógł zabić zapachu zupy cebulowej. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał rzewnie. Potem znowu pił. Wreszcie z nożem za pasem, wyszedł bełkocząc: „zabiję, zabiję!”. Po drodze zapomniał, że idzie do No. Szaleńcy i pijani nigdy nie wykonują swych zamierzeń.

Z powodu upału ulica była pusta. Chi Pheo kłął, odgrażał się i ciągle szedł przed siebie. Tak doszedł do bramy Kiena. Domownicy pracowali na polu, jedynie stary Kien odpoczywał jeszcze po obiedzie.

Ujrawszy Chi Pheo rozgniewał się. Miał już tego dość! Poczuł, jak gorąca fala uderza mu do głowy. Być może wołałby, aby czwarta żona nie wychodziła z domu na zbyt długo, bo nigdy nie wiadomo, dokąd idzie. Kobieta prawie czterdziestoletnia, a wygląda jeszcze zupełnie świeżo. I staje się coraz ładniejsza. Kien w tym roku skończył sześćdziesiąt lat, jest stary i słaby. Myśl o tym dręczy go. Ona też już przecież powinna się zestarzeć. A ona jest wciąż młoda, piękna, jak dwudziestolatka. A jaka zmysłowa. Z przyjemnością się na nią patrzy, ale jego to denerwuje. Nie inaczej patrzy człowiek bezzębny na kawałek twardej wołowiny. Jej oczy, usta, są takie czarujące, lecz bardzo mu wygląda na ładacznicę! Z byle powodu śmieje się, mrużąc przy tym oczy, a policzki jej stają się różowe. Kien zazdrości widząc, jak młodzi chłopcy — których można by wziąć za jej dzieci — flirtują z nią. Zalecają się bez ogródek, wulgarnie, lecz ona do wszystkich się uśmiecha. Nie dba wcale o swoją pozycję. Niech to diabli! Tych wszystkich młodzików chętnie wpakowałby do więzienia. W takich chwilach nawet człowiek stateczny nie może mieć spokoju. Szczególnie gdy ujrzy kogoś, kto przychodzi upominać się z wrzaskiem o pieniądze na wódkę, jak Chi Pheo.

Mimo to, Kien wyciągnął przygotowane pięć *hao*. Zawsze lepiej mieć gotowe, aby jak najszybciej móc go wyrzucić za drzwi.

— To ty Chi Pheo? — krzyknął — Lepiej by było, żebyś przestał pić. Nie mam zamiaru ciągle cię wspomagać.

Rzucił pieniądze na podłogę.

— Bierz i uciekaj. Dokąd będziesz awanturował się i krzywdził ludzi?

— Nie przyszedłem prosić o pieniądze — odparł Chi Pheo.

Widząc, że Chi Pheo zaczyna być zły, Kien obniżył ton.

— No dobrze już. Weź tyle, nie mam więcej.

Chi Pheo podniósł dumnie głowę.

— Powiedziałem już, że nie przyszedłem po pieniądze.

— To ciekawe! Pierwszy raz się zdarza, że nie przychodzisz po pieniądze.

Więc o co ci chodzi?

— Chcę się stać uczciwym człowiekiem! — rzekł Chi Pheo.

— Doskonale! — roześmiał się Kien. — Przecież ja tylko tego chcę, aby wszyscy uważali cię za uczciwego.

Chi Pheo pokręcił głową.

— To niemożliwe! Kto mnie za takiego uważa? Co robić, żeby zginęły te blizny na twarzy? Nie mogę już być porządnym człowiekiem! Wie pan? Jest tylko jeden sposób... wie pan? To jest... taki!

Chi Pheo błyskawicznie wyciągnął nóż. Starzec zdołał tylko krzyknąć. Chi Pheo ciał nożem na oślep i przeraźliwie wzywał pomocy. Lecz słysząc ten głos ludzie nigdzie się nie spieszyli.

Gdy wreszcie przyszli, on także leżał w kałuży świeżej krwi. Oczy i usta miał otwarte, jakby chciał mówić, lecz nie wydał już głosu. Z szyi płynęła niezastygła jeszcze krew.



W Vu-dai wrzało. Wiele dyskutowano na temat tej nieoczekiwanej tragedii. Niektórzy cieszyli się w głębi duszy. Nie brakło też ludzi, którzy jawnie okazywali swoje zadowolenie. „W tym jest oko boskie, ludzie kochani” — mówiono. Inni mówili całą prawdę: „Nie ma kogo żałować. Oni się nawzajem zabijają; nikt nie potrzebuje do tego ręki przykładac”.

Najbardziej zadowoleni byli jednak notable wioski. Tłumnie przychodzili składać kondolencje, lecz przede wszystkim chcieli z satysfakcją popatrzeć na Cuonga. Stary Tao, nie ukrywając, mówił na bazarze donośnym głosem, aby wszyscy słyszeli: „Ojciec umarł, teraz trzeba uważać jak syn będzie z ludźmi postępował”. Doskonale rozumiano, że „z ludźmi” to znaczy właśnie z Tao. Między sobą ludzie szeptali: „Umarł ten złodziej — możemy się cieszyć”. Lecz rozsądniejsi byli podejrzliwi. Cmokając ustami mówili: „Gdy bambus się starzeje — wypuszcza młode pędy. Jeden drań umarł — został drugi. Dla nas to nie ma najmniejszego znaczenia...”

Przyglądając się uważnie No, ciotka rzekła cierpko:

— Masz szczęście, dziecko. Już nie uściśniesz Chi Pheo.

No roześmiała się zmieniając temat:

— Wczoraj spisano protokół. Podobno Cuong wydał prawie sto piastrów. Gdzie ginie człowiek — giną i pieniądze.

Lecz w głębi serca pomyślała:

— A jednak czasami był to bardzo łagodny człowiek.

Przypomniawszy sobie chwile z nim spędzone, spojrzała ukradkiem na ciotkę, potem na swój brzuch, myśląc: „Nierozsądna jestem. Jak sobie bez niego dam radę, kiedy urodzi się dziecko?”

Nagle spostrzegła starą, opuszczoną cegielnię...

Luty 1941

Z wietnamskiego przełożył
Ryszard Chmielewski

